

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc”
przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr., cena numeru w miejscu 40 gr. z przesyłką 50 gr.

TRESC NUMERU.

- | | |
|---|---------------|
| 1. Kiedy klęska jest zwycięstwem | K. K. V m. |
| 2. List treści pedagogicznej | J. F. V m. |
| 3. „Nieraz” czyli | L. V ż. |
| 4. Na jesienną nutę | P. III ż. |
| 5. Jasny dzień | Łotowska V z. |
| 6. W naszej czytelnicy | J. V ż. |
| 7. Widmo jesieni | Z. R. IV m. |
| 8. Wspomnienia z pobytu w Supraślu | J. S. V ż. |
| 9. Hej, pieśni! | E. B. V. ż. |
| 10. Z naszego życia | E. B. V. ż. |
| 11. Humor i satyra. Ecce homo | Kotłowski. |
| 12. Jak prowadziłem pierwszą lekcję gimnastyki. | Dudziński. |
| 13. Kronika. | |
| 14. Odpowiedzi Redakcji. | |

Adres Redakcji i Administracji: „Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: P. Gajdzica.

Redaktor: K. Kotłowski

Wiceredaktor: E. Bielawska.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

Kiedy klęska jest zwycięstwem?

(Rozprawa psychologiczna).

Życie nasze jest jednym pasmem walk bądźto wewnętrznych, bądźto staczanych z otoczeniem. W walkach tych, jak wogóle we wszystkich walkach, rozróżniamy zwykle dwa rozwiązania: zwyciężamy lub zostajemy zwyciężeni.

Zdawałoby się, że innej, trzeciej, możliwości niema, a jednak, jeżeli zastanowimy się głębiej nad tą sprawą, przekonamy się, że ta inna możliwość istnieje.

Weźmy pod uwagę wypadek, nieładny, jeżeli chodzi o estetykę i stronę moralną, ale doskonale uwydatniający ową trzecią możliwość: oto widzimy dwóch bijących się chłopców.

Jeden z nich, uniesiony gniewem, zdenerwowany, chwytając kij i bije drugiego, który zacisnąwszy zęby, nie reaguje na to podobnie, lecz ze spokojem znosi krzywdę.

Jeżeli chodzi o triumf siły fizycznej, to pierwszy odniósł zwycięstwo nad drugim, gdyż obił go, sam nie doznawszy żadnych cielesnych obrażeń.

Zwycięstwo to mogą mu przyznać podobni mu koledzy, ale jeżeli chodzi o istotę rzeczy, o sąd bezwzględny, psychologiczny, rzecz będzie miała się odwrotnie. Rozpatrzmy stan psychiczny dwóch naszych „bohaterów”.

Obaj mają wspólnego wroga — swoje namiętności. Pierwszy im ulega, zostaje pobity przez wroga wewnętrznego, który z nim robi, co mu się podoba, w tym wypadku, każe znęcać się nad kolegą.

Drugi, pomimo, że mu ten sam wróg każe co innego czynić, niż stać i znosić cierpienia, nie idzie za głosem wewnętrznym szatana i — zwycięża. Widzimy, że wewnętrzne zwycięstwo pociąga za sobą czasem klęskę zewnętrzną, pozorną.

Te pozorne klęski są, jak mówi James, składką, którą każdy przezorny obywatel składa do kasy ubezpieczeń wzajemnych.

Moga one nam nigdy się nie przydać, ale może być też inaczej.

Wtedy te drobne ustępstwa, w postaci wielkiego kapitału, jakim jest w tym wypadku silny i wyrobiony charakter, nigdy nas nie zawiodą: przyjdą i wyratują, kiedy zajdzie potrzeba.

K. K. V. m.

List treści pedagogicznej.

Kochany Władziu!

Dowiedziałem się dziś przypadkowo, że między Tobą i Jurkiem Kalinowskim zaszło nieporozumienie, które się skończyło ostrą wymianą słów.

Znając doskonale Ciebie, jako też i Jurka, stwierdziłem, że nieporozumienie Wasze jest tylko chwilowym wybuchem i nie posiada głębszych podstaw, któreby inaczej wpływały na moje zapatrywanie się na tę sprawę.

Jestem pewny, że teraz żałujesz szczerze swego postępku i pragniesz zgody, lecz „męska” ambicja i honor nie pozwalają Ci pierwszemu wyciągać ręki do zgody.

Pragnąc szczerze, by między naszą trójką nadal istniał szczerzy, przyjazny, pełen miłości koleżeński stosunek, chcę przyjść Wam z pomocą w wymianie serdecznych słów pojednania, które już oddawna wykiełkowały w Waszych szlachetnych duszach.

Jurek też jest niespokojny i nieswój z powodu tego nieporozumienia. Gdy mu przyrzekłem, że Was pogodzę, chłopak rzucił mi się na szyję i nic nie mówił, tylko płakał z radości.

Dziś między Wami musi nastąpić zgoda. Przyjdź dziś do mnie na wieczorek. Będzie i Jurek, a ja się postaram, by Wam ułatwić zgodę.

Wielce Ci zyczliwy i kochający Cię

Józef.

Białystok, 26. 9. 1928 r.

dziękczynną. Drzewa, rozkołysane zlekka powiewem wiatru, szumią i gwarzą między sobą radośnie. Wszędzie, dokąd spojrzeć, panuje radość. Nawet na lekcji profesor uśmiecha się przyjaźnie i do duszy twej wstępuje otucha. I przychodzą wtedy do głowy myśli wielkie, mądre i wzniosłe. W jednej chwili z ucznia stajesz się mędrcem. Na wszystkie pytania, stawiane przez nauczycieli, odpowiadasz dobrze i płynnie. Aż serce rośnie z dumy, że człek taki mądry.

To znów ni stąd, ni zowąd ciężko stanie się na duszy. Przed oczyma przesuwiają się chmurne twarze profesorów. Błysną binokle p. dyrektora, a zaniepokojona wyobraźnia maluje obraz jego gabinetu. To znów lekcja, profesor z notesem w rękę i z twarzą sfinksa. Dwójka, niby urągły pajac na sznureczku, wyskakuje przed oczyma. Wówczas człowiek kurczy się, maleje i głupieje. Jeszcze z ust profesora nie padło pytanie, a już po marsowej minie poznajesz, że „dwójka” nieunikniona. A tu człowiek taki głupi! Zbaraniał całkiem. Ani jedna porządna myśl nie przyjdzie do głowy.

Ach, gdyby w takich chwilach rozpogodziła się twarz wszechwładnego pana profesora i przez te 45 minut nie spochmurniała ani raz! Wtenczas zwodniczy bożek mądrości nie czmychnąłby ze strachu w mysia dziurę, ale, wierny nam, przystawiałby lejek do głowy i wlewał cenny olej w nasze puste, na tę chwilę, mózgownice. A tak nietylko odziedziczysz „czerwoną dwóję”, ale cały świat poprostu odwraca się od ciebie. Słonko przestaje świecić, kwiaty pachnąć, drzewa szumieć radośnie, ludzie uśmiechać się złośliwie. Wszystko sprzysięga się na biednego uczniaka.

Doprawdy:

Nieraz tak smutno jest na świecie:

Coś w duszy boli, w sercu ssie,

Nieraz tak bardzo życie gniecie

I żyć tak źle!

Nieraz wybiega myśl stęskniona

W bezmiary pól, w nieznaną dal

I prężą tęskne się ramiona

I tak czegoś żal...

L. V. z.

„Nieraz” czyli światła i cienie życia uczniowskiego.

Nieraz ni z tego, ni z owego człowiekowi tak lekko i tak rażno! Świat wydaje się piękniejszy, a ludzie lepsi. W parku wszystkie kwiaty się uśmiechają i w miłosnej ekstazie ślą swe odurzające wonie ku kochanemu słońcu, niby wonną modlitwę

Na jesienną nutę.

Jesień...

Od drzewa do drzewa, od krzewów do krzewów ciągnie się nic babiego lata i wlecze za sobą szarzyznę, melancholję i... trochę smutku. Liście opadają i przykrywają brunatnym

całunem ziemię. I zdaje mi się, że grzebią one pod sobą nie-tylko kwiaty i trawy, lecz i szereg porywów i chęć wybuja-łych, rozkwitłych podczas wiosny i lata.

Smutno jest, a nawet ma się wrażenie, że innej wiosny już nie będzie.

Z jakimś rozżaleniem wpatrujemy się w otoczenie, w kraj-obrazy, kwitnące ostatnimi przeblyskami piękności i kraszy, aby wyryc to piękno w pamięci — na zawsze.

Lecz wszystko przemija.

Opadają płatki róż: drzewa stają się nagie, smutek i me-lancholja zapanowują niepodzielnie i człowiek mimowoli przy-zwyczajają się do tego minorowego nastroju otoczenia.

A ten, co czuje, że może to już ostatnie dla niego było lato i wiosna, odgrzebuje w pamięci świeże mogiły wypadków, na których porastać już zaczęły „jesienne złote chryzantemy“.

P. Kurs III ż.

JASNY DZIEŃ.

(Wspomnienie).

Po tygodniach trwogi i niepewności nadszedł wreszcie koniec roku szkolnego, rozwiązanie trapiącej nas oddawna za-gatki: zdałam, czy nie?

Oto najbardziej palące, najbardziej naglące pytanie. Bije ono ze spojrzeń, z ruchów i z wypieków na mizernych twa-rzach.

Nadszedł czwartek. Za dwie godziny dowiemy się o wy-nikach całorocznej pracy.

Już po wszystkim. Na korytarzu rojno, gwarno. Na wielu twarzach promienieje radość; ściskają dłonie, pokazują świa-ductwo.

Jest i inna grupa. Oczy świecą się złowieszczo, usta zaciśnięte mocno — to niepromowani.

Mnie los postawił w pośrodku. Nie dowiedziałam się ni-czego. Spora kwota moich zaległości za internat nie pozwoliła na wydanie mi świadectwa.

Z tem pojechałam do domu. Smutne było powitanie, smutniejsze jeszcze pierwsze dnie wakacyjne.

Nie wiem, dlaczego byłam pewna, że „zostałam“.

Pocieszenia rodziców, zamiast rozproszyc mój smutek, jeszcze go powiększały. Złe mi było wśród ludzi, nie mogłam

znieść ich współczucia. Chodziłam do lasu, gdzie, leżąc, wpa-trywałam się w białe obłoczki, mknące po przeczystym błęki-cie, słuchałam skrzyptu komarów i szumu liści.

Majestatyczna powaga natury nastrojała mię w ten spo-sób, że malały troski.

— Co znaczy promocja, co znaczy nawet poszczególne istnienie jednostki wobec istnienia świata?

Takie i tym podobne refleksje przynosiły mi ulgę. Wra-całam do domu z duszą bardziej dostrojoną do prześlicznej pogody. W ten sposób zeszedł miesiąc, nadszedł pierwszy sierpnia, dzień poborów nauczycieli szk. powsz. Przyjechałam do Białegostoku wraz z siostrą i bratem, nauczycielami.

Jadąc, znalazłam podkowę. Coś mię tknęło...

— Podkowa jest symbolem szczęścia... a może?.. Drżały pode mną nogi, gdym z wielką sumą pieniędzy w kieszeni wstępowała do seminarjum.

Zaraz się dowiem!

— Zdałam! O radości!

Co się ze mną działo, już dokładnie nie pamiętam, wiem tylko tyle, że mi się w pierwszej chwili przypomniała owa podkowa.

Dzień ten był naprawdę dniem szczęścia.

Gdym patrzyła na rozradowane twarze rodziców, serce mi tajało z radości. Ktośby powiedział może: „Było się cze-go tak szaleńczo cieszyć“! Tak, dla obcych jest niezrozumiała ta przeogromna moja radość, ale dla mnie, com tyle przeżyła, przecierpiała, była zupełnie uzasadniona.

Drugi miesiąc wakacyj — inne życie.

Spadła z serca zmora trapiąca... lekko... lekko...

Dziś wspominam te czasy, ten pierwszy miesiąc, i zdaje mi się, że to sen, przykry, gnębiący sen.

Łotowska. IV ż.

W naszej czytelnii.

Każdy, kto choć trochę uczył się psychologii, wie, że jedno wyobrażenie kojarzy się z drugim, o ile często i w pewnej kolejności wytwarzają się w naszym umyśle. Słynne naprzy-kład są skojarzenia wyobrażeń piątek i ryż u naszych inter-nistek i internistów. Jeżeli im ktoś powie wyraz piątek, to na-ras na usta ciśnię się drugi — ryż. U mnie natomiast skoja-rzyły się najlepiej wyobrażenia piątek i dyżur w czytelnii.

Dyżur w czytelni!

A więc trzeba zawczasu zaopatrzyć się w klucz, który zawsze jest w posiadaniu kierowniczkii, a po kolacji otworzyć czytelnię. Klucz zgrzyta i szafa, przybytek, w którym zawiera się tyle mądrości, w którym mieści się zbiór wiadomości ze wszystkich dziedzin — otwarta. Już kilkanaście osób otacza szafę i każda wybiera, co jej się podoba: a więc tradycyjnie piąte kursy rozchwytują gazety, a pierwsze bardzo często dzwigają grube roczniki „Iskier” i innych pism (roczniki te rok rocznie oprawiane są chlubą naszej czytelni i zajmują już całą półkę, wypełniając ją szczelnie od góry do dołu); pogrążeni w rozwikływanie „poważnych problemów naukowych” filozofowie wyciągają swe dłonie po „Wiedzę i Życie” sportowcy łapią „Stadjon” i „Redutę”, sportsmenki „Start”, przeciętny czytelnik bierze „Iskry”, „Tygodnik Ilustrowany”, Oświatę pozaszkolną, „Szkolę powszechną” i co tam komu wpadnie pod rękę. Ach, zapomniałam powiedzieć, że harcerki i harcerze sięgają (czasem) po pismo, skromnie spoczywające na ostatniej półce szafy na przedostatnim miejscu — na którym napisano „Harcerz”. Już wszyscy mają, co chcą, i zajmują swe miejsca. Ruchome lampki opuszczają się nisko i młodzież pogrąża się w czytanie. Dyżurna, siedząc przy swoim stoliku, ma możność doskonałego obserwowania zaczytanej braci.

Zrazu jest cicho. Wkrótce jednak zaczyna się wytwarzać lekki szmer. Oto przy stoliku drugim, z prawej strony, siedzą: koleżanka Kasia, kolega Stach i kolega Jasio. Widocznie kolega Jasio znalazł bardzo ciekawą ilustrację, bo pokazuje ją koleżance. Ta śmieje się, coś odpowiada. Przyłącza się do nich kolega Stach. Ilustracje absorbują całą trójkę. Sypią się widocznie trafne i dowcipne uwagi, bo od czasu do czasu słychać wesoły śmiech (tylko proszę nie myśleć, że bardzo głośny — jesteśmy przecież kulturalni i wiemy, że innym przeskadzając niegrzecznie). Przy stoliku na lewo usiadła znowu koleżanka Hela i kolega... (przepraszam, ale już nie pamiętam jego nazwiska, ani imienia). Między nimi też wre ożywiona, prowadzona półgłosem, dysputa. To się dobrało dwoje zawziętych matematyków i rozwiązują z zapalem zadanie algebraiczne. A przy ostatnim stoliku jakież to dwie postacie tak zawzięcie pogrążone w czytaniu? Ach, to stara historia! Ci przecież zawsze siadają przy jednym stoliku. Społeczeństwo nasze już się nawet przestało niemi interesować. Nagle któraś z koleżanek wbiega do czytelni. Jak lekki poszum wiatru lecą słowa: „pan Dyrektor idzie”, a potem wszystkie szmery milkną. Niestety pan Dyrektor ominął czytelnię i poszedł dalej. Czasem

jednak bywa, że przychodzi do czytelni, zasiada przy stoliku i czyta pisma.

Dzwonek na modlitwę wieczorną. Zasuwanie krzeseł, gaszenie lamp, składanie pism, które na stoliku dyżurnej tworzą istny bigos literacki. Kilkoro opóźnionych zapisuje się jeszcze do frekwencji. Już wszyscy wyszli, już pisma ułożone. Dyżurna jeszcze ogląda zeszyt z rubrykami. Data... Nazwisko... Kurs... Było trzydzieści pięć osób. Teraz jeszcze rzuca okiem do zeszytów o znanych zielonych okładkach. „Iskry” czytało pięć osób... „Tygodnik Ilustrowany” pięć, „Harcerza” dwie... Inne rubryki puste. Cóż więc czytało te trzydzieści pięć osób, które dzisiaj były w czytelni, przecież każda brała jakieś pismo? Łamiąc głowę nad tem, dyżurna opuszcza czytelnię i biegnie nagórę.

J. V. s.

Widmo jesieni.

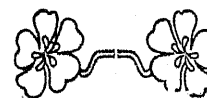
*Płynie, spowite w leśną woń,
Pieszcząc kwiaty i liście drzewa,
A czego dotknie drobna dłoń,
Jesieni cudny blask przywdziewa.*

*Maluje listki smutnych drzew,
Barwą jesieni zdobiąc cudnie;
Czerwieni się lub złoci krzew,
W słoneczne ciche popołudnie.*

*Wietrzyk złocony niesie liść,
I ściele, ściele jej pod nóżkę;
Witając tę, co miała przyjść,
We mgłę spowitą, jesień-wróżkę.*

*Idzie — szeleści smutnie liść —
Wysłuchana w ciche drzew poszumy,
Lecz smutek tchnie z jej pięknych lic,
I jakiś szary cień zadumy.*

Z. R. IV. m.



Wspomnienia z pobytu w Supraślu.

Podczas obiadu podaję projekt, byśmy na popołudniowy spacer obrały inny kierunek niż dotychczas, mianowicie za rzekę, do górki odległej na oko o jakieś 3 km. od miejsca naszego pobytu.

Ponieważ jednak dzień był upalny, jeden z lipcowych wyjątków tego roku, stąd też niektóre dziewczynki prosiły, abyśmy raczej poszły na „suprańską plażę”.

Podzieliłyśmy się.

Amatorki opalania się ruszyły nad rzekę, my zaś w liczbie 9 w stronę owej góry.

Z początku śledziłyśmy ją oczyma, jednakowoż z rozczarowaniem po pewnym czasie spostrzegłyśmy, że nie idziemy tam, gdzieśmy chciały. Droga prowadziła w gęsty, młody las, rzeka zaś i to, co nas pociągało — zostawały z boku.

Nie było czasu na wywody, który kierunek drogi obrać.

Szłyśmy, gdzie było ładniej, gdzie radośniej, tem bardziej, żeśmy co chwila napotykały całe „królestwa poziomek” (jak się któraś wyraziła), które po naszym przejściu były doszczętnie zniszczone, t. zn. zjedzone albo przydeptane.

Las stawał się coraz piękniejszy. Młodziutki, jasno-zielone korony jodeł i świerków nie ruszały się zupełnie. Cicho było, bezludnie, spokojnie. Nie mówiłyśmy prawie ze sobą, zajęte wchłanianiem świeżego powietrza, dopiero jakieś z 5 km. w głębi lasu zrodziło się pragnienie śpiewania.

Gorąco i tutaj dokuczało, dla wypoczynku usiadłyśmy i zaczęły chóralnie pierwszą pieśń.

„Hej, użyjmy żywota, wszak żyjem tylko raz” — popłynął na falach ciepłego wiatru Mickiewiczowski zew, za nim popłynęły inne: o Jaśku z pod Sącza, o ułanach polskich...

Możebyśmy już nie ruszyły dalej, gdyby nie komary, które nas zaczęły ciąć niemiłosiernie.

Trzeba było z konieczności iść.

Wracać? — szkoda, a więc — naprzód!

Znowu po półgodzinnym marszu trafiłyśmy na leśniczówkę, skąd ku wielkiej radości nas wszystkich o parę kroków od domu zobaczyłyśmy naszą „górkę”.

— Kto pierwszy?! Pomimo zmęczenia w zawody! I tak część wycieczki była jeszcze u stóp wzgórza wysokiego na jakieś 40 m. i, oszołomiona widokiem, jaki się roztoczył, przysłądzała się wszystkiemu ze zdumieniem.

Druga zaś część naszych zuchów z wierzchołka wydawała głośne okrzyki zachwytu i zadowolenia. Istotnie było na

co patrzeć. Przed wzrokiem naszym rozciągało się bogactwo barw, bogactwo gatunkowe kwiatów.

Lila, złote, białe, ponsowe korony, podobne do storczyków, strzelały w górę, inne, przyziemne o niebiesko-fioletowych, czerwono-zielonych listkach słały się, niby powój, i robiły złudzenie mozaiki barwnej, żywej, za każdym drgnieniem wiatru i innej i coraz to ciekawszej.

Scieżka pięła się wązkim pasemkiem w górę.

To co nam zdala wydawałoby się piaskiem, porośłym trawą, z kilkoma drzewami na szczycie, zbliżka zmieniło się wprost w łąny kwiatów o jednakowych barwach i cudownym aromacie.

Oświeślało nas słońce, co się wdzierało w każdą szczelinę, w dole zaściana zachodnią, prostopadłą niemal w dolinie szumił spokojnie las, jakiś zadumany, posepny.

Cień kładł się na jego wierzchołki.

Przed nami, jak okiem sięgnąć, widać było cały Supraśl, skąpany w świetle lipcowego słońca.

Malutkie punkciki, poruszające się — to ludzie.

„Ot — tam nad rzeką — to morze” — domyśla się któraś głośno.

Inne żałują, że nie wzięły z sobą szkicowników, gdyż kontury białych, skupionych wieżyczek monastynu unickiego bardzo wyraźnie odrzynały się od błękitu nieba. Z boku, opierając się jedną ścianą o sobór, widniał pałac Zahertów z łamaną linią dachów, nieco dalej, parę kominów fabrycznych, naokoło zaś lasy, które na horyzoncie zlewały się w granatową jedną smugę, otaczającą ten zakątek życia ludzkiego.

I znowu ze szczytu popłynęła melodia, bardziej tęskna może, bardziej rwąca się w przestrzeń, tam „gdzie się mgły po górach wleka — w jakiś inny świata ką” — w krainę cudu.

Słońce zachodziło za lasy, kiedy wracałyśmy naprzelaj, przez łąki, z nareczami kwiatów, z entuzjazmem i werwą.

Na twarzach naszych nie widać było zmęczenia, tylko białe zęby i oczy świeciły niby u murzynów.

Purpurowe obłoczki zaczęły coraz gęściej pokrywać zachodnią połąć nieba.

Słońce zachodziło.

Na tafli wodnej leżała na całej przestrzeni rozbita tęczą kolorów i grała najcudniejszemi odmianami.

Ta woda przemawiała wprost do nas i zostawiała na każdym ubraniu, kiedyśmy przechodziły, część krasy, część blasków swoich.

Hojna była i mocarna, umiała śmiać się do roześmianych i postrachem, groźbą stawać się dla tych, co chcieli być sil-

niejsi od niej. Co rok, jakieś się później przekonały, zagarnia do swych nurtów śmiałków i cicha, zagadkowa płynie dalej.

Zbliżał się kres naszej wycieczki. Przez park popłynęła ostatnia pieśń: „Po nocnej rosie” Moniuszki.

Wróciłyśmy — do gwaru, do całej gromadki, która się już o nas niepokoiła — pełne entuzjazmu i zapału, pełne przeżyć, których nam dostarczył spacer, pełne kwiatów, które nam na długo przypominały urok tych kilku godzin, spędzonych na łonie natury, zdala od gwaru życia wielkomiejskiego, od ludzi.

Poznałyśmy wtedy, że opisy Orzeszkowej—to nie fantazja poetyczna, lecz dokładne odtworzenie czaru naszych krajobrazów, realne przedstawienie ich piękna.

Jakże niezmiernie wdzięczne byliśmy wtedy tym wszystkim, którzy nam dali możliwość takiego wykorzystania czasu przez przeciąg całego miesiąca!

J. S. Kurs V. z.

Hej, pieśni!

Hej, pieśni! płyni, płyn daleko,
Ciesz wszystkich smutnych,
Niech łzy nie cieką
Skargi nie płyną...

Śpiewaj, brzmij głośno w znękaną duszę,
Niech się tęsknota w sercu zagłuszy;
Aby nie widzieć tego, co boli,
Śpiewaj nam, śpiewaj o lepszej doli.

Niech pod tonami twymi dźwięcznemi
Zabłyśnie słońce wszędzie na ziemi;
Pieśni! bądź gońcem tej dobrej wieści,
Ze giną mroki, świt oczy pieści.

E. B. kurs. V. z.

Z naszego życia.

(Obrazki).

Jesień! Widać ją wszędzie, we wszystkim. Wiatr, hulający po świecie, gwizduje nam w uszy te słowa. Wystarczy spojrzeć na człowieka, aby z jego ruchów, wyrazu oczu i żalostnej miny odczuć, że już jesień.

W naszym Seminarjum czuć też tę porę. Najwięcej czujemy ją na korytarzu. Mówi nam o niej epidemicznie rozpowszechnione teraz dzwoniące zębami (z zimna). Czasem jednak się rozgrzewamy. Rozgrzania te segregujemy na: jesienne wesole i pożądane i jesienne smutne, niebardzo pożądane.

Na klasówce matematycznej (miałyśmy ją przed kilkoma dniami) płoną nam twarze jak żywe pochodnie, a oczy, błyszczące fosforycznym blaskiem, coraz to spoczywają na p. profesorze (w celu stwierdzenia, czy jeszcze nie spostrzegł zerknięcia „jednym okiem” do kajetu sąsiadki). Gorąco nam, gorąco okropnie; ręce drżą (nie wiem już, czy z zimna, czy też ze strachu), ale mózgownice pracują, pracują...

To właśnie chwila jesienna-gorąca, ale niezbyt wesola.

Po takiej klasówce mówimy zwykle o wynikach zadań, a także wspominamy o tem, jaki byłby wynik głosowania nad wnioskami: czy lepiej marznąć, czy też grzać się... podczas klasówek! Wszystkie „kieskie głowy matematyczne”, dla których matematyka to niedostępna kraina, napewno ani chwili nie będą zastanawiały się, za czem głosować...

Idziemy na hospitację do III oddziału Szkoły Ćwiczeń. Siadamy za dziećmi na ławkach i chuchamy w ręce, aby je rozgrzać przed notowaniem. Wzrok mimowoli wybiega za okna.

Tam park. Aleja naprawdę złota. Liście opadłe ułożyły żywy, barwny, w złotym odcieniu kobierzec.

... W parku aleja liściem wysypana,

Liściem złotego klonu i kasztana...

Uh, zimno tam! Zimno, ale pięknie.

Do naszych uszu dochodzi głos prowadzącej (jednej z koleżanek) lekcję. Wpatrujemy się w nią: rozgorączkowana, ruchliwa.

Porozdawała dzieciom liście lipy i porównywuja wielkość ogonka z długością i szerokością blaszki. Trudno wyciągnąć z dzieci jakieś słowo: nie chcą gadać i już! Wreszcie Alfons energicznie podnosi rękę. Prowadząca chętnie pozwala mu mówić. Chłopiec wstaje i pokazując coś na liść swój, mówi — ale co, nie wiemy, bo nie słyszymy. Słyszymy zato, jak koleżanka, prowadząca lekcję, zwraca się do dzieci z powiedzeniem, wobec którego z trudem wstrzymujemy się od śmiechu. Robi się nam na chwilę gorąco i zapominamy, że to jesień.

Za chwilę znów spokój; śledząc tok lekcji, rzucamy wzrokiem na więdzące kwiaty doniczkowe, stojące w oknach.

Następna hospitacja w I oddziale.

Nasza Stasia prowadzi „doliczanie ps jednemu”. Aby je trochę urozmaicić, opowiada dzieciom powiastkę o Janku, który

miał jabłonek i, przyszedłszy do niej rano i zauważywszy, że brakuje na niej jednego jabłka, zmartwił się, ale to tak mocno, że stanął, jak wryty — i zwiesił główkę, zwiesił aż do samej ziemi i tam zobaczył czerwone jabłuszko!

I znów robi się nam ciepło od wesołości — na samą myśl o tym osobliwym Janeczku. Co to za chłopak musiał być: z zórawią szyją chyba, jeżeli w postawie stojącej mógł aż do samej ziemi spuścić głowę!

Idziemy na lekcję polskiego. Na „rozgrzewkę” każe p. profesor robić rozbiór gramatyczny zdań. Mamy to robić szybko, szybko — namysłu niema. Różia nieboraczka myśli nad podmiotem w zdaniu: Święte „nie rusz!” — Zamiast jednej sekundy strawiła dwie, dostaje więc od p. profesora „obietankę” tego rodzaju: „Niech pani tak długo się namysła podczas matury, to chyba za... dwa lata...”

— Ładna perspektywa — myślimy, robi się nam równocześnie zimno i gorąco. Wychodzimy na korytarz.

Tu spotykamy piękny widok: oto koledzy z IV kursu harcują zawzięcie, wywijając rękami i nogami na wszystkie strony. Nie wiemy, czy to „na rozgrzewkę”, czy też popis przed nami...

— Takim chłopakom to wszystko ujdzie — mówimy — nam, to już wiele rzeczy „nie wypada”.

Zgrzeszyłabym, gdybym nie wspomniała, że i wśród nich są „poważni”. Ci, podczas harców swoich „młodszych umysłem” kolegów obserwują z politowaniem ich zabawę, potrząsając czuprynami, wreszcie, włożywszy ręce w kieszenie, odwracają się z oburzeniem, aby oglądać obrazy na ścianach, patrzeć w szkło gablotki, lub przez okno śledzić wzrokiem wrony i lecące jesienne liście.

E. B. kurs V. ż.

Bo czemu są oni, a czemu jestem ja?!

Ja!..

Tu głęboko się zastanowił, szukając różnicy między nimi a sobą.

Mówią, że śpię na lekcjach!

Niech mówią, nigdy nie odkryją tajemnic szlachetnej duszy mojej.

Szary, przebrzydły tłum!

Chcą, żebym żył z nimi, żebym zniżył się do ich poziomu.

O, godni politowania!

Wczoraj urządzali jakiś tam wieczorek i chcieli, żebym przyszedł.

Cha, cha, cha!

O motłochu! gdybyś wiedział, o jaki skarb się ocierasz codzień, czolem uderzyłbyś przede mną.

Gdybyś wiedział, jak będę piał się ku szczytom po twoim trupie, podziwiałbyś mnie i — śmiertelnie nienawdził.

Bo jestem stworzony dla siebie i wszystko jest dla mnie.

Jakie to ja naprzykład mam zdolności do malarstwa lub matematyki, nie mówiąc o innych dziedzinach i, o ironjo losu, mam tylko stopień dostateczny.

A u kogóż znajdziesz taką śmiałość słowa (bo śmiałość wyrażania się to wszystko) jak u mnie?

A mówią, że nie umiem ortograficznie pisać!..

Karjerę zrobię... no tak... bo któżby ją zrobił, jeżeli nie ja. Nawet taki Mickiewicz, który „zimował” i to ją zrobił. Wprawdzie „zimowałem” i ja, ale niesprawiedliwie: prosta rzecz „usadzili się” i kwita, ale kiedyś zobaczą, kogo śmieli krzywdzić, zobaczą, kim jestem ja, ja i jeszcze raz ja...

Tutaj zamyślił się wyższy o „całe niebo” od swych braci Tolo i, stanąwszy zdala od tłumu, zapatrzył się w siwe mgły nad kościołem.

* * *

— O! właśnie ta, albo żadna — zwierzał się Władzio, wpychając w usta „kajzerkę”, — tip top n'est pas?

Udał się do umywalni i, stanąwszy przed lustrem, myślał: — Nie spojrzę na mnie, nie dla psa kiełbasa...

A przecież jestem niczego, nawet zupełnie... owszem... owszem.

Bo któż ma takie brwi, jak ja... ogniste oczy, jak mówią, podobne do djablików?

Swoją drogą mam powodzenie, szaleją za mną.

Wiadomo, każda piękna rzecz jest przedmiotem pożądania.

HUMOR I SATYRA

Ecce homo.

Właśnie przyszedł i położył książki na półce.

— O Boże! — westchnął — jakaż to męka wytrwać sześć godzin z tym tłumem. Że też skarałeś mnie, Panie, każąc mi urodzić się wśród tych, z którymi mam tyle wspólnego, ile kot z dzwonkiem, który mu przyczepi swawolne dziecko.

Wczoraj na wieczorku jak zrobiłem minę à la... à la... compositeur, ileż rozplamionych oczu spoczywało na mnie? Ile dałaby każda, żeby chwilkę choć mogła pomówić ze mną.

Pójdę do Zosi, niech się ucieszy biedaczka; wiem, ile jej na mnie zależy.

Co do mnie, żywię pewne uczucie dla niej, które gdy wygaśnie, pustkę zostawi po sobie w mojej piersi, tak—pustkę.

Muszę uczesać włosy do góry i kupić czarną kokardę, będę wyglądał jak wieszcz.

* * *

Boże mój! jak ten chłopak mnie kocha.

Doprawdy żal mi go, ale cóż zrobię, kiedy nie mogę równie go pokochać, nie mogę!

Dzisiaj, na modlitwie wyglądał tak strasznie... sińce miał pod oczami, a cały był blady, jak upiór, aż strach!

Może myśli o samobójstwie... ach! zastrzelił się.

Tylko raz spojrzął na mnie wzrokiem tak straszonym, jak gdyby mówił: „Żegnaj, przyczynę mego nieszczęścia” — i później już nie patrzył na mnie.

Ach! jakaby to była tragedia! gdyby tak...

Zaraz zemdlałabym... a koleżanki cucilyby mnie bladą, jak listek lilji, a ja chciałabym tylko umrzeć.

Później płakałabym, całą noc nie zmrużyłabym oka, a żal gnębiłby mnie, gnębił.

Na drugi dzień gładko uczesałabym się, włożyłabym czarną sukienkę i podczerniłabym się pod oczami (bardzo mi z tem do twarzy) i do samej śmierci nikt nie ujrzałby uśmiechu na mojem uroczem obliczu.

Na pogrzebie prowadziliby mnie pod rękę (może piękny Adaś?—daj Boże!) i ja zemdlałabym cztery... nie, to za dużo, trzy razy i płakałabym (wtedy napewno pokochałby mnie Adaś).

Lecz czyż tylko ja jedna jestem w seminarjum, że wszyscy szaleją za mną?

Wprawdzie jestem najładniejsza na całym świecie, ale to nie powód, żeby zaraz umierać!

Widocznie Bóg ukarał mnie, dając urodę.

Ha! w takim razie będę cierpiała i — niechaj chłopcy „pałają” sobie w łby.

On: Ach! co za nudy (ziewa) choć głową wal w ścianę.

Stanowczo za mało dzisiaj spałem, bo djablo się czuję, jakto—od godziny ósmej wieczorem do siódmej rano, ile to będzie?

Ósma do dziewiątej raz, dziewiąta do dziesiątej dwa... trzy, cztery... jedenaście...

Nie, to nie może być, stanowczo za mało spałem, trzeba pójść się zwolnić, bo przekłete nudy (ziewa).

* * *

— Dzisiaj na zespole wyglądałem, jak Paderewski, mruzczał z zadowoleniem Józio, stawiając w kącie futerał.

Jak ślicznie leżały zaprasowane spodnie, jak mi było do twarzy w pince-nez!

Trochę zasłaniał mnie wprawdzie ten — jak on tam — Franek, ale bo też pcha się to, nie wiedząc, co się komu należy.

A jednak prawie wszyscy mieli możność mnie widzieć, a zwłaszcza czarną muszkę.

Stał przed lustrem i wykonał kilka ruchów — ukłonów; z takimi ukłonami pójdzie jutro „pomówić” z panem profesorem o sztuce. Wiadomo wszystkim, jeżeli ktoś rozmawia z p. profesorem śpiewu, musi mówić o sztuce, żeby mógł mówić o sztuce, musi znać się na niej.

Józio nietylko zna się na muzyce, on ją kocha.

Dzisiaj, przed próbą zespołu, czyż nie chodził po Zwierzynku dwie godziny z futerałem w rękę, wymawiając głośno zdania: „Gram arję z Fausta”, „co do mnie, to widzę błędy w harmonji u Moniuszki”, „kocham kompozycje van Bethowena” itd., a już jak grad sypały się z ust takie słowa jak: wibracja, piccicato, andante espresivo itd.

— Tak, jutro koniecznie muszę pomówić z panem profesorem.

— „Jak ten chłopak kocha muzykę”, pomyśli w duszy, a na świadectwo...

Z całej klasy on jeden czuje.

Wiadomo, uczucie wielka rzecz, jutro też p. profesorowi o tem powie; gra przecież primo violino.

Ma pasję do muzyki, nic dziwnego, wraz z talentem przychodzi zamiłowanie. Szkoda tylko, że na przyszły zespół nie może włożyć czarnego ubrania!

Po ukończeniu szkoły pójdzie grać do opery, albo nie, weźmie się do kompozycji.

* * *

Leos wędrował, nasunawszy czapkę na oczy i włożywszy rękę w kieszenie płaszczka. Miał pracę nadprogramową w szkole, ukończył ją i teraz idąc rozmyśla:

— Pusty dziś świat i puste głowy (naturalnie siebie wyciągnął w tym wypadku przed nawias).

Weźmy nasz kurs pod uwagę: Słupy ujrzeli brak talentów i dlatego tak wiele straciłem, będąc na tym kursie.

Jestem prymusem, jeżeli nie w świadectwie szkolnym, to w istocie rzeczy, ale co z tego?

Oni, koledzy, są mi kulą u nogi, krępują mnie swoim nieokrzesaniem.

Zacofany świat, tępe i puste głowy, a co będzie dalej.

Tak biada Leos; zapomniał tylko o tem, że on ma wszystko, co potrzeba do nauki: książki, pomoce naukowe i pieniądze, a jego koledzy nic, prócz długów i kłopotów.

Zapomniał o tem genialny Leos.

* * *

Jeżeli, koleżanki i koledzy, nie rozgniewacie się na mnie za powyższe sytywetki, bardzo się ucieszę, w przeciwnym razie powiem na swoje usprawiedliwienie:

Lubię djabelnie się śmiać, a wiercie mi, że najlepiej jest śmiać się z bliźniego swego.

Jeśli komuś jednak tego usprawiedliwienia za mało, wtedy niech, złoścąc mi, pomyśli o przysłowiu, że: „kto się lubi, ten się czubi“.

Kotłowski.



Jak prowadziłem pierwszą lekcję gimnastyki.

— Ha, stało się!.. Jak dostanę dwójkę, to trudno — raz kozie śmierć!

Siedzę i myślę, myślę jak indyk, którego za takie myślenie smutny los spotkał, i czekam jutrzejszej konferencji. Co mi też rzeknie dwudziestka naszych chłopców, no i (co gorsza) okrutny nasz profesor gimnastyki. Krótko i węzłowato mówiąc, wprowadziłem w nauczaniu gimnastyki nową metodę, którą starożytni Rzymianie, a nawet mocno zestarzały Grecy wspominaliby z szacunkiem, gdyby żyli w obecnej dobie łez i dwójek, albo dwójek i łez — jak się komu podoba. Ba, zresztą czemu tu się dziwić? Każdy na tym padole jest obciążony niedolą, jak na ten przykład składkami „Bratniej Pomocy“.

Otóż było tak.

Tydzień temu siedziałem na drabince w sali gimnastycznej (lękając się uderzenia piłki) i patrzyłem, jak to pan profesor od gimnastyki, według wszelkich prawideł szwedy, czy indyjskich (pomieszały mi się te dwa gatunki krajów), „ganiał“ chłopców po sali, aż ci pogubili pantofle i... lepiej nie mówić. Patrząc na to, myślałem.

— Czekajcie, basatyki, już ja was zgonię, że wam krople potu, jak na muzyce, osiadą na nosach!..

I cóż na to powiecie? Pan profesor daje mi wzorzec lekcyjny i mówi.

— Poprowadzisz za tydzień lekcję gimnastyki według tego wzorca!

Pomimo, iż wiedziałem, że mam prowadzić lekcję, zdumiałem się okropnie i zapomniałem nawet obrócić oczy w ślup.

— Żeby to wciórnościł!..

Strach mię obleciał.

— Ja, który dotychczas zajmowałem się tylko tym rodzajem lotnictwa, które skromnie można nazwać lataniem po obłokach (profesorowie mówią, że tam są, jak w ciepłych krajach, niebieskie, czy zielone migdały), ja mam prowadzić gimnastykę?... Boże, ty patrzysz i nie grzmisz! (jak mawiał ś. p. wuj Zagłoba).

Postanowiłem wykuć wzorzec na pamięć. Uczyłem się godzinami i nocami. Wbił mi się już dobrze w głowę (do dziś dnia mam tu dziurę), co mogłem wywnioskować z tego, że gdy mię pan profesor od matematyki obudził na lekcji pytaniem:

— Co zrobić z tem zerem? — odpowiedziałem:

— Ustawić w kolumnie ćwiczebnej i w tył zwrot!..

Sam dzisiaj śmieję się z tego, a jednak tak było.

Lekcja.

Chłopcy wchodzą do sali i poczynają biegać, jak zwykle. Pan profesor stoi już w sali i strasznie niemiłosiernym wzrokiem patrzy, czy i ja wchodzę do sali.

Wchodzę i podaję komendę: Zbiórka w dwuszeregu!

Ślicznie idzie, aż się uśmiecham!

— Raz dwa, raz dwa, ze śpiewem marsz!

Idą...

W tem z kuchni internatowej zalatuje mię cudowny zapach mocno pieprzonego sosu...

— Raz dwa, raz dwa! Co tam dalej?..

Ach ten sos!..

— Kolumna ćwiczebna w marszu zbiórka! — krzyknę.

Omyliłem się w komendzie. Niech licho porwie wszyst-

kie komendy! Przypomniałem sobie, jak to Kościuszko krzyknął na swoich:

„Chłopczy, wziąć mi te armaty”!

O, takim być bohaterem! Już chciałem krzyknąć na kurs:

„Chłopczy, wziąć mi ten sos”! Cóż — kiedy oni na moją zmyloną komendę powłazili jeden drugiemu na głowę. Bodaj was... tacy drąga!...

Ja sam zresztą nie wiedziałem, co mam dalej robić. Zacząłem gwizdać. Ale gwizdanie, to żadna komenda.

A pan profesor (niedobry), zamiast mi pomóc, jał się ołówka i notesu. Ależ będzie na konferencji heca! Boże!...

Jak tu wybrnąć z tej sytuacji?

Poczułem się na świecie takim maluteńkiem, słabutkiem stworzonkiem, nie mogącym nic poradzić wobec tych dwunożnych hipopotanów, słoniów o barszczowej trąbie, wielbłądów i innej podbiegunowej arystokracji.

— Siadać, drodzy moi — począłem krzyżeć, — robić głębokie wdechy i wydechy, boście się bardzo zmęczyli!

Taki tępy kurs do wszystkiego! Gęsi im tylko pasać lub co pauzę biegać do naszego sklepiku (mówiąc nawiasem, warto tam chodzić z wielu względów) i za grosz nalepki kupować, bo poza tem to do niczego!...

— Biegiem marsz!

Pędzą, jak Tatarzy, aż się ziemia trzęsie. W tej chwili zapomniałem, jak ma brzmieć dalsza komenda... Nie mogę sobie przypomnieć... A oni pędzą!...

Prrr! — wołam, a oni w śmiech.

— Stój!

Stanęli we wszystkich kątach sali. Dobrze, że choć stanęli. Boże, cóż to za rekiny! Jak to z nimi pan profesor daje sobie radę, nie mam najmniejszego pojęcia. Taki tępy kurs!

— Marsz!

Biednemu człowiekowi zawsze wiatr wieje z południa na północ. Jako ćwiczenia blisko-końcowe zastosowałem wymiennie we wzorcu skoki przez kobyłkę i skrzynię. Są to co prawda graty, o których nasi prapradziadkowie, tem bardziej prababki za złamany grosz pojęcia nie mieli, ale są one dobre do uskuteczniania bezpłatnej wysyłki na „tamten” świat.

Można bowiem rozklekotać swoje zebra tak, że będą się swobodnie kiwały, jak wzrostomierz w gabinecie naszego doktora.

— Przewroty na rękach przez skrzynię!...

Śmiech patrzeć, jak pewien grubasek, imitując kozła, tryka głową w skrzynię, aż mu włosy, jak skry, sypią się

z głowy. Ja zaś nie wiem, jak fachowo zakończyć to gorszące widowisko.

— Dosyć, dosyć! — krzyczę.

— W dwuszeregu naprzód! marsz!

Idą...

Rzucam okiem na pana profesora: stoi i patrzy na kurs. Już jutro będzie heca! Boże, zmiłuj się nade mną!

— Ze śpiewem do szatni marsz!

Uf... Nareszcie skończyłem! Czuję się tak zmęczonym, jakbym sfotografował conajmniej ze dwie strony francuskiego.

W. Dudziński.

KRONIKA.

7 października. Staraniem kursu V m. odbyło się sprawozdanie z odbytej w roku ub. wycieczki na Pomorze kursów piątych i IV męskiego. Na program sprawozdania złożyły się:

1) Deklamacje; 2) Kronika; 3) Referat p. t. „Mieszkańcy polskiego wybrzeża”; 4) Śpiew; 5) Przewrota.

Wieczór naogół udał się dobrze.

Szwankował trochę śpiew, a wedle, może i sprawiedliwego, sądu słuchaczy, przewrota trochę nużyły. Nic dziwnego: był to ostatni punkt programu. Jest to jeszcze jeden dowód, że tego rodzaju „wieczorów” nie należy obliczać na godziny, lecz na godzinę.

14 października. Odbyło się wspólne z p. Dyrektorem zebranie wszystkich członków zarządów organizacji naszego Stowarzyszenia.

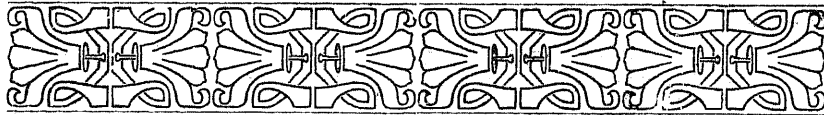
Omawiano sprawę odpowiedzialności jednostek, stojących u steru poszczególnych organizacji.

16 października. Odbyło się zebranie Zarządu Głównego, na którym poruszano sprawę obchodu dziesięciolecia Niepodległości Polski. Wsuwano projekty, których realizacja miałaby uświetnić uroczystość tego dnia.

Najważniejsze z nich są:

1) Zapoczątkowanie akcji zbierania funduszy na zakupienie samolotu; 2) Zasadzenie drzewka w dniu obchodu; 3) Rozpoczęcie zbierania funduszy na sztandar szkolny.

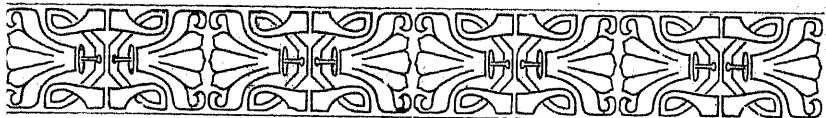
19 października. Dziś o godz. 4 p.p. słuchaliśmy recytacji artysty deklamatora-liryka, p. Mareckiego. Na program złożyły się: deklamacje wyjątków z dzieł Mickiewicza, Reymonta, Rydla i innych. Na zakończenie część humorystyczna. Kto na tem był, ten za kilkanaście groszy skorzystał bardzo wiele.



Odpowiedzi Redakcji.

- „Szareńka“. Obrazek w treści banalny, w stylu ułomny. Nie drukujemy.
- „Wrażenie z wycieczki“. Nie możemy zamieścić wobec posiadania lepszych prac z tego samego działu.
- „Wspomnienia z gór“ i „Ze wspomnień“. Decyzję postanowiliśmy odroczyć do następnego numeru.
- „Wspomnienia z wycieczki“. Początek niezły, dalszy ciąg bezbarwny, szary. Razi kontrast. Nie wydrukujemy.
- „Jesień“ (II ż.). Jest nawet polot poetycki. W całości razi jednak teatralność i werbalizm. A szkoda! Autorka umie czuć piękno przyrody, nie umie go tylko wyrazić prosto i naturalnie. Warto popracować w tym względzie nad sobą.
- „Jesień“ (St. W.). Wiersz ma w sobie poezję. Psuje go, niestety, rym niedorzeczny. Nie wydrukujemy dlatego, prosimy nie zrażać się odmową.
- „Jesień“ (W. D.). Poemat bardzo niejednolity. Mając na ten sam temat lepsze utwory, jesteśmy zmuszeni nie drukować.

Redakcja.



Drukarnia Diecezjalna
w Łomży.